

DEMOKRACJA

Bogusław Wolniewicz, miniwykład dla Radia Wnet, 2010 r.

Witam państwa. Tematem naszym będzie dzisiaj demokracja. O demokracji dużo się mówi, a za mało myśli. O jej właściwościach strukturalnych, o warunkach jej funkcjonowania w raptownie zmieniającym się dziś przecież świecie. Spójrzmy na jeden tylko z jej wielu dyskusyjnych aspektów. Ustrój, jaki obecnie dominuje w cywilizacji Zachodu, określa się jako demokrację liberalną. I wciąż się to określenie powtarza. Nikt nie docieka, co właściwie ma w tym określeniu znaczyć przymiotnik – liberalna. Czy jest to tylko stylistyczny ozdobnik i demokracja liberalna to to samo, co demokracja po prostu, czy przeciwnie - prócz demokracji liberalnej istnieje też jakaś inna, nie liberalna? Ale na czym miałyby wtedy polegać ich różnica? Niejeden słuchacz i niejedna słuchaczka byłiby pewnie w kłopotcie, jak na te pytania odpowiedzieć.

Otóż są rzeczywiście dwa rodzaje demokracji. Jednym jest właśnie demokracja liberalna, dzisiaj górująca. Drugim jest demokracja, którą będę nazywać obywatelską. Jedna wyklucza drugą. Demokracja liberalna nie jest obywatelska, demokracja obywatelska nie jest liberalna. Różnica polega na stosunku, jaki jednostka ma w nich do swojej demokratycznej wspólnoty, którą zwie się wtedy republiką, czyli sprawą wspólną. Według znanej i słynnej definicji Arystotelesa polityka jest to roztropna troska o dobro wspólne, nie moje i nie twoje, tylko nasze. W demokracji obywatelskiej zachodzi pewna równowaga między troską jednostki o dobro własne i jej troską o dobro wspólne, między prawami, jakimi jednostka we wspólnocie demokratycznej się cieszy, i obowiązkami, do jakich się wobec tej wspólnoty poczuwa. Na tej delikatnej równowadze praw i obowiązków polega duch obywatelski, który taką demokrację ożywia, dlatego tak ją nazywam.

W demokracji liberalnej duch obywatelski zanika. Pojęcia dobra wspólnego czy wspólnego interesu stają się martwe, wręcz niezrozumiałe; zrozumiałe są jedynie partykularne interesy jednostek i rozmaitych grup, oszukańczo zwanych mniejszościami. Każdy troszczy się tylko o siebie, o dobro wspólne niech się martwi kto inny. Ale kto konkretnie? Oczywiście urzędnik, to jemu za to płacą, on jest od troski o dobro wspólne, nie my. Tutaj leży błąd liberalnej demokracji. Urzędnik jest w niej bowiem tak samo przesiąknięty duchem obojętności na dobro wspólne jak wszyscy inni. On też troszczy się jedynie o dobro własne. Tym zaś

dobrem jest dla urzędnika jedno: nie narazić się zwierzchności. Demokracja liberalna wygasza ducha obywatelskiego, także w całym aparacie państwowym.

Weźmy przykład drobny, ale świeży. Jest w Warszawie ulica Solec. Mieszkańcy jednej z jej starych kamienic utworzyli wspólnotę i postanowili założyć własnym sumptem windę. Piętra są tam wysokie, schody strome, niektórym ciężko już wchodzić. Złożyli się, wpłacili firmie 40 tys. zł zaliczki i wszystko szło pięknie, duch troski o wspólne dobro zadziałał wzorowo. Aż wkroczył w to urzędnik demokracji liberalnej, czyli wydział architektury Urzędu Dzielnicowego Warszawa Śródmieście na wspólne dobro całkowicie obojętny i budować windę zabronił. Nie pozwoliły mu rzekomo przepisy, bo kabina za mała, by mógł się w niej swobodnie obracać wózek inwalidzki. Urzędnik beczelnie kłamie, bo starczało sporządzić komisyjnie protokół, że tamtejszy szyb nie pozwala na kabinę większą, co jest prawdą. Ale nie, liczy się tylko dobro urzędnika. On chce być kryty przepisem, reszta go nie obchodzi, żadni inwalidzi, żadne wspólnoty. Demokracja liberalna to doskonała pożywka dla etatyzmu, czyli dla wszechwładzy urzędnika, obojętnej na dobro obywatela i w tej obojętności całkowicie bezkarnej.

Demokracja obywatelska prócz troski o dobro wspólne wymaga też czegoś więcej - powszechnej zgody na to dobro. Ponad wszelkimi antagonizmami partyjnymi musi w niej istnieć konsens na coś, do czego solidarnie dążą wszyscy. A różnią się najwyżej co do drogi jaka będzie najlepsza. W demokracji liberalnej takiego konsensu nie ma. Rozrywa ją wielkie pęknięcie cywilizacyjne, o którym była już mowa poprzednio.

Weźmy znowu przykład. 6 czerwca 2004 roku minęło 60 lat od lądowania aliantów w Normandii. Tygodnik Times przeprowadził wywiady z jego weteranami, a jeden z nich zapadł mi w pamięć. Zapytany ów weteran, co czuł, gdy jego barka desantowa zbliżała się o świcie do plaży Omaha, odparł: *I realized it wasn't going to be easy, and I did not expect to come back alive* [ang. Wiedziałem, że to nie pójdzie łatwo i nie spodziewałem się wrócić żywy]. On wrócił, choć był w tym dniu kilkakrotnie ranny. Inni nie wrócili. Tak wygląda duch obywatelski. Gdy dla dobra Ameryki trzeba iść na wroga, to się idzie, choć widoki własne ma się wtedy marne. Porównałem tę postawę z postawą studentów, których w 1967 roku widziałem w Chicago, jak skandowali: *Ho, Ho, Ho Chi Minh!* na cześć śmiertelnego wroga ich własnej republiki. A Jane Fonda, znana aktorka, pozowała wtedy ustrojona w hełm radziecki i przy radzieckiej zenitówce wycelowanej w amerykańskie samoloty. Tak działa demokracja liberalna i jej brak zgody na

dobro wspólne. Zamiast relegować tych studentów, a tę Fondę posadzić na krzesło elektryczne za zdradę ojczyzny w czas wojny, fetuje się ją filmowymi nagrodami. W latach 60. Ameryka przeobraziła się z demokracji obywatelskiej w liberalną. Dziś widać, że nie wyszło to jej na dobre, starczy spojrzeć na kurs dolara. Demokracja liberalna pokazała, czym jest, demokracją w stanie rozmiękłym, czyli jednym wielkim porno shopem. My zaś w Polsce idziemy tym szlakiem, choć widzimy, dokąd zaprowadził Wielką Amerykę.

Do usłyszenia.